

Młodość i gwiazdy

Eugeniusz Paukšta

Eugeniusz Paukšta

MŁODOŚĆ
I GWIAZDY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-26-5

Copyright © Eugeniusz Paukšta

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

I. Prezentacja z urozmaiceniami

– Bożena, co się stało... Spuchłaś?

Przystanął, czekając na dziewczynę. Pozostała trójka przepychała się dalej krętą drogą, wiodącą przez podmokły las. Graby przemieszały się ze świerkami, w nieustannym wyścigu do światła strzelając wysoko w niebo.

– Już dobra. Piętę sobie natarłam, musiałam poprawić skarpetę – uśmiechnęła się pucołowatą twarzyczką. W niebieskich oczach, niekiedy ciemniejących aż w granat, zapełgały ciepłe ogniki. – Coś taki troskliwy, Marek?

– Narzucaliście mi szefostwo, muszę wywiązać się z obowiązków, pilnować niedojdów – mruknął, zapatrzonego w intrygujące go oczy dziewczyny.

– Zeza dostaniesz. No już, dość tego stania, idziemy, bo ich potem nie dogonimy. Patrz, jak ta mała Zośka posuwa.

– Ona jest szalenie wytrwała. Wygląda na słabą, ale nigdy nie pokaże tego po sobie. Równa dziewczyna.

– Lubisz ją?

– Lubię. Czemu się krzywisz? Zalaźła ci jakąś drzazgą za skórę?

– Ona? Nie... A krzywię się, bo ta pięta.

– Uwierzyłbym, akurat... Antek ją wytrzasnął, dopiero przepchała się jakoś na drugi rok. Medycyna.

– Wiem przecież. Coś się tak straszliwie rozgadał?

W głosie jej wyczuł hamowane rozdrażnienie. Wzruszył ramionami. Lepiej już nic o tamtej dzierlatce nie gadać, licho wie te dziewczyny, boczą się teraz o byle drobiazg, zazdrosne takie czy co?

Uśmiechnął się do siebie szeroko. Zawsze, jak się czuł niewyraźnie, ratował się tym uśmiechem. Zjednywał mu ludzkie serca.

I teraz, gdy kątem oka spojrzął na Bożenę o krótko, na chłopięcy sposób uciętych włosach, dostrzegł, jak twarz jej łagodnieje i też zagarnia ją uśmiech.

– Przepraszam cię – szepnęła. – Zmęczona jestem. Za dużą turę wyznaczylismy sobie na dzisiaj. Z tego Wierzchowa to chyba blisko dwadzieścia kilometrów?

– Tyle nie, ale piętnaście możesz sobie zaliczyć.

– Ba, zaliczyć, kiedy nie wiadomo, gdzie koniec. Już tyle czasu wlecemy się tym lasem... Na domiar pytanie, czy w ogóle dobrze idziemy?

– Mówili tak przecież w Pławnie. No i tamten facet spotkany w lesie bębnił to samo... Już na pewno i niedługo, i niedaleko.

– Nie patrz się na mnie z taką litością. Łaskawca się znalazł. Nic wielkiego. Nie zdarzyło się tobie nigdy natarcie pięty?

– Nie przypominam. Czekają na nas, chodź szybciej.

– Coście się tak rozflirtowali? Tu znowu rozwidlenie, nie wiadomo, kędy do leśniczówki – wołała Zośka, ruchliwa jak fryga, maleńka, ale bardzo zgrabna, co kompensowało jej nie najprzedniejszą urodę.

– Tobie tylko flirty w głowie. Sama je lubisz, to i każdemu przymawiasz – zachnęła się Bożena.

Drobna dziewczyna wzruszyła ramionami. Zaraz schyliła się, zerwała jakieś źdźbło i żuć je zaczęła energicznie. Zdenerwowała ją uwaga koleżanki.

– Nie dokuczajcie sobie, bo deszcz będzie. Tego tylko jeszcze nam brakowało – zarechotali chłopcy. Zwłaszcza śmiech Antka brzmiał rozgłośnym rzeniem. Tylko mu nierówne, wysunięte trochę do przodu zęby połyskiwały. Rzucił plecak i namiot na ziemię. – Odsapka, zakurka, a to spociłem się jak ruda mysz.

– Nie przygaduj – Bożena już się opanowała, na słowa kolegi odruchowo przeglądając włosy o niezdecydowanym kolorze, niby ciemnawe, ale z jakimś rudawym, nieokreślonym bliżej odcieniem. – Pomysł w każdym razie wyśmienity – klapnęła z całym rozmachem na miękkie podłoże darni.

– Rydza zgmiotłaś, Bożenko.

– Wiecie już, kędy musimy iść? – dopiero odezwała się trzecia z dziewcząt, Jola, najładniejsza chyba ze wszystkich, wysoka, przewyższająca wzrostem nawet drągowatego Antka. Tyle że, będąc pełniejsza, gdy tamten, chudzielec, świecił gołymi gnatami, nie czyniła w pierwszej chwili wrażenia aż takiej wysokiej.

– Podnosząc wyżej głowę zaraz byś dostrzegła sadybę Kuryłów za lasem – i właśnie Antek zdawał się mieć dziewczynie za złe jej wzrost.

Tak jakoś dziwacznie to wypowiedział, że cała zgraja parsknęła śmiechem. I już znów było dobrze, odpłynęły kiepskawe nastroje, nawet Bożena życzliwiej spoglądała na Zośkę, zwłaszcza gdy ta serdecznie zajęła się jej obtartą piętą.

– Daj spokój, dojdę już jakoś bez tego plastra...

– Niechże zaznam satysfakcji udzielenia lekarskiej pomocy. W ten sposób pogłębić mogę w sobie powołanie medyczne.

– Serio lubisz medycynę?

– Jak dotąd ani trochę. To ojciec koniecznie mnie na nią pragnął wpakować. Może dlatego, że sam się nigdy w życiu nie leczył. Z daleka mu tylko ten zawód tak ładnie pachnie.

– Czarnula urwała, zastanowiła się chwilę, wzruszyła ramionami. – Zresztą, sama nie wiem, co mnie pociąga. Staralam się dostać przed dwoma laty na inny wydział. Oblałam. Rok w domu, jakaś przelotna praca, no i medycyna. Może ją zresztą polubię. Nie wiem... No widzisz, teraz już ten kawałek dokuśtykasz na pewno.

– Ba, wiedzieć tylko, jaki to ten kawałek...

Marek Kostycho wpatrywał się w mapę. Skądś wytrzasnął przed wyprawą starą, poniemiecką sztabówkę, przez cały czas łązugi operował nią niemal bez przerwy. I teraz z zafrapowaniem pomagał sobie palcem, ciągnąc nim po sfatygowanym papierze. Podniósł głowę, strzepnął na kark włosy przydługawe, nie tyle z hołdowania modzie, ile z niechęci do wizyt u fryzjera, i zaraz oznajmił rozkazującym tonem:

– W prawo. Wszakże mówiono, że to nad odnogą jeziora, w kierunku na Siemczyno. Mapa prawdę mówi...

– Względów się wyrzeka...

– Już tylko bez wzniosłych cytatów. Tu grupa złazowa studencka, a nie jakieś tam Koło Młodych przy Związku Literatów. – Spojrzał na Antka, raczkującego poetę. – Czy tam u was wszyscy tak rzą jak ty? Wesoła musiałyby to być wiara.

– Przecież to koła korespondencyjne. I nie przy Związku Literatów, a przy zarządzie ZMWu, w Warszawie na domiar.

– Ja się tam nie wyznaję na tych delikatnościach... Wiem tyle, że jest jakiś wychów poetów, tak jak zimny wychów cieląt. Was też trzymają zimną na zaśnieżonych wybiegach? A fe, bez rękoczynów, gdzież liryczna subtelność? – odskoczył nadszpodziejanie zręcznie, uchylając się przed wyciągniętą ku niemu pięścią Antka Hajdrycha.

– Oni znów swoje. Pan poeta i pan sportowiec! – niby to serio zachnęła się Bożena. Bo w gruncie rzeczy bawiły dziewczęta przekomarzania ich kolegów. – Ale wiecie co, chodźmy, wolałbym w nocy nie przedzierać się przez las. Skoro na prawo, to na prawo. – Zarzuciła plecak, pomaszzerowała teraz na przodzie.

Marek Kostycho z Jolą pognali za nią, sadząc wielkimi krokami. Zrywającego się Antka wstrzymały słowa Zośki:

– Zaczekaj chwilę, zdążysz.

Spojrzał na jej twarzyczkę, zarumienioną od wysiłku, o błyszczących oczach. Ładnie wyglądała w tej chwili. Oddychała głęboko, pierś jej podnosiła się przyspieszenie.

– Czego chcesz? – zachnął się niechętnie.

Znał ją wszak dobrze, byli w swoim czasie blisko ze sobą. Pamiętał stany jej podniecenia, przyspieszony oddech, migocące pobłyski w oczach. Zawsze też wtedy ładniała...

Spojrzała w kierunku, gdzie za zakrętem zniknęła reszta kompanii. Zbliżyła się do chłopca, stając przy nim zupełnie blisko. Twarz podniosła ku górze, przymilnie spoglądając mu w oczy. Żrenice jej zwiększyły się, nabrzmiałe lekko wargi rozchyliły się.

– Zośka... – zaczął niepewnie.

– Pocałuj – poddała mu usta.

Kiedyś lubił ją całować. Wargi miała miękkie, zawsze wilgotnawe, niby bezbronne, a przecież umiające tak zachłannie darzyć pieśzcotami.

Gdy jeszcze się wahał, przynagliła go lekkim ruchem twarzy. Sięgnął ustami ku jej wargom, wróciła pamięć dawnych doznań. Długą chwilę tak trwali, i znów była aktywniejsza niż on. Jednak brakło mu czegoś, niewiele zostało z dawnego klimatu. Pierwszy odsunął się od dziewczyny. Nie dała za wygraną, przygarnęła go teraz sama, wargi jej błędziły po jego ustach, uważne i chłonne, leciutko drgał czubek języka.

– Zośka, to nie ma sensu – powiedział wreszcie. – Pamiętasz, ustaliliśmy, zostaniemy dobrymi kompanami. Lubię cię, ale nic więcej. I myślę, nie wracajmy już do dawnego...

– Żle ci było? – uśmiechnęła się smętnawo.

– Nie. Ale i nie było mi dobrze. Nie przywrócimy tamtego czasu. Wiesz sama, dla jakich przyczyn. Nie umiem tak. Daruj, nie gniewaj się. Długo trwało, nim przewalczyłem to, co zbudziło się we mnie w stosunku do ciebie. Wolę obejść się bez nawrotów.

– A są możliwe? – przechyliła w bok głowę. Może nie był to ruch wystudiowany, ale wyglądała w tej chwili wyjątkowo zalotnie. A zarazem bardzo dziecięco.

Westchnął, poprawił ciężące mu plecak i namiot.

– Nie, nie są możliwe. Zośka, nie gniewaj się, nie powtarzajmy się. Dobrze?

– Jak chcesz – nawet się nie nadała, choć z głosu jej przebijała rezygnacja. – Zgoda, postaram się. A teraz idziemy. Daj grabę, Antek. Ja zawsze jestem taka głupia.

Szła teraz obok niego ze spuszczoną głową. Jakby przygasła w niej dawna żywość. Patrzyła sobie pod nogi w skromnych trampkach i tuzinkowym dresie.

I on też milczał. Zły był za moment własnej słabości. Rzeczywiście, minęło, szkoda i słów, i myśli. Zarazem było mu żal dziewczyny. Za lekko podchodziła do życia. Może nie umiała inaczej, nikt jej nie wskazał innych możliwości, nie pobudził ambicji. On sam próbował, ale było już najpewniej za późno.

Wzruszył ramionami. Co zresztą w końcu o niej wiedział? Z niezamożnej inteligentkiej rodziny, ojciec był urzędnikiem gdzieś w Nowej Soli, bodaj że prawnik z wykształcenia, człowiek zmęczony przeżyciami wojennymi, z chorowitą żoną i szóstką dzieci, na poły dziewcząt i chłopców, harował, by utrzymać rodzinę. Że się im nie przelewało, znać to było po Zośce. Zawsze przywoicie odziana, czyściocha bo to z niej była, jak umiała, przerabiała stare ubrania, wyglądała zresztą w nich dobrze, oszczędzała każdy grosz, wiedział, skąpiła sobie z konieczności niekiedy nawet i na jedzeniu. Z małej mieściny rzuciły ją studia w nowy świat, w rojowisko młodzieży, nagle rozwarły się przed nią jakby czarodziejskie wrota, chwyciła to, co znajdowała za nimi, bez umiejętności wyboru i bez umiaru. To chyba spowodowało, że pęknać musiała wiążąca się między nimi nić, uczucie ledwie zakiełkowało, a już podwiedło i potem zagasło. Została sympatia. Lubił ją naprawdę i naprawdę chciał utrzymać z nią nadal koleżeńskie stosunki.

Czy to jednak będzie możliwe teraz, po tym akcencie? Myślał tak, z ukosa spoglądając na dziewczynę drepcącą obok. Tyle widział w niej dobrych cech, niekiedy szlachetnych.

Niewiele miała w sobie z cwaniactwa i wyrachowania niektórych swych koleżanek, a jednak... A jednak jakiś pion załamał się w niej, właśnie tu okazywała brak woli i charakteru, jakąś głupawą, „dojutrokowatość” widzenia. Może jej się i uda przejść tak przez życie, może kiedyś samą potrafi się spostrzec, choć on sam wątpił w to mocno. Był krótki okres, gdy próbował apostołować, bez skutku, aż ironicznie kpiąc sam z siebie, z tych misjonarskich zapędów, dał spokój. I tak właściwie było dobrze. Dzisiejsza scena bardzo okazała się niepotrzebna. Dwa tygodnie już włóczą się w piątkę, stworzyli koleżeńską atmosferę, jakieś drobne zgrzyty nie mogą wszakże niczego przyćmiewać, Zośka stosowała się do ich niepisanej umowy sprzed roku, aż dopiero dziś... Te głupie pocałunki...

Przygryzł wargi. Głupie, niepotrzebne, a jednak dotąd czuł ich smak. Jeszcze zdawało mu się, że odciskają się na jego ustach ciepłe, wilgotnawe wargi dziewczyny. Powiedział bez zastanowienia, że nie chce nawrotów, nawet mu w głowie nie powstało, że byłoby to kiedykolwiek możliwe, a teraz widzi, że jednak nie wszystko tak zupełnie minęło... Trzeba się strzec, to już nie miałyby żadnego sensu. Ona nie potrafiłaby być inna, a on wciąż by się zżerał umotywowaną niestety zazdrością. Tak jak wtedy...

– Łamiesz się? – spytała znienacka, podnosząc głowę, a wzrok jej z czubków trampek powędrował na jego pociągłą twarz. – Jeśli tak cię to obeszło, przepraszam. I dajmy już spokój, dobrze? Patrz, jakie piękne drzewa, liście przybierają kolor czerwony, a inne są zupełnie jak bursztyn. To buki i graby?

– Buki i graby – zaśmiał się z małej cwaniary. Wiedziała, że zna i lubi las, wszystko, cokolwiek się z nim wiąże. To on zaklepał tę wizytę u leśniczych Kuryłłów, na jednym roku był z Beatą, łączyły ich dobre stosunki. – Tutaj jest piękny drzewostan, cudem się jakimś zachował. Niemcy gustowali w typowej monokulturze, sadzili las jednolity, co potem się ciężko mściło... A tu nasz grab, buk, na lekko mokrawym, świetnym dla nich podłożu, a obok świerk, patrz, jaki gonny, w podbiciu leszczyna i inny drobiazg leśny.

Umiała słuchać. Szeroko rozwarłe oczy spoglądały teraz na niego z uwagą. Kiedyś pamiętał, jeszcze jej bliżej nie znał, również słuchała tak bardzo uważnie, wdzięcznie przechylając główkę, aż mogło się zdawać, że nic więcej poza słowami rozmówcy ją nie obchodzi. Tyle, że w oczach jawiły się zarazem te diabelskie migoty...

Kopnął z pasją zaległą na drodze szyszkę. Cholera, przez te idiotyczne całowanie na wspominki mu się nagle zebrało.

– Nie łamię się i daj mi spokój z takimi przygaduszkami – powiedział to niezamierzenie ostro. – Już ich widać, chodźmy szybciej, a o tej scenie, proszę, zapomnijmy. Bo inaczej nici z naszej przyjaźni.

– A tylko dozgonne rozstanie, tak? – zaśmiała się z przymusem. I zaraz zaczęła wołać do wyprzedzającej ich trójki: – Coście się tak zerwali, nadażyć nie możemy, zaczekajcie przez chwilę!

Antek spoglądał na nią z podziwem. Maskuje się, czy naprawdę tamto już ją niewiele obchodzi, była chwila, minęła, szlus, koniec i kropka?

Dał spokój rozważaniom. Tamci posłusznie zatrzymali się, przywitali ich śmiechem. Tylko w spojrzeniu Bożeny, jakim ogarnęła Zośkę i Antka, było coś z podejrzliwości.

– Co z wami? Wleczecie się jak w smole! – powiedziała.

– Musiałam nurkować w krzaki, by garderobę poprawić. – Śmiejąc się trzepnęła Zośka koleżance w twarz. Czemuś nie żywiły do siebie zbytnej sympatii, choć na ogół starały się to ukrywać. Tyle, że przycinkom między nimi nigdy nie było końca. – Jak ci się idzie teraz? – wskazała na otartą piętę Jakszynianki.

– Dziękuję, dobrze opatrzyłaś, prawie nie czuję – Bożena udobruchała się.

Z oddali, przez las nadbiegło poszczekiwanie psów. Antek uniósł głowę:

– O, już i dym czuję. Błede twarze koczują stąd niedaleko.

– Na jakiegoś Siuksa ty rzeczywiście wyglądasz. Z rakowatą gębą i nochalem, jakby go dopiero ze skóry odarto – zaśmiała się Jolka.

To przed dwoma dniami, gdy całą bandą udali się na grzyby, rozleniwiony tego ranka Hajdrych został w obozowisku, by pilnować namiotów, jakby mógł się znaleźć ktokolwiek taki, kto by się pokusił na ich mizerny dobytek. Zasnął smakowicie na słońcu, twarzą wgapiiony prosto w niebo. Spaliło go na amen, i teraz czerwieniał jak muchomor.

Świadomi, że są już blisko celu, zmęczenie dawało bowiem wszystkim znać o sobie, przyśpieszyli kroku. Przygaduszki i rozmowy urwały się, szli leśną drogą w milczeniu. Wokoło wyrastał mieszany starodrzew, smugi słońca pasmami kładły się między drzewa, ozłacając bujnie rozrosłe listowie paproci. Las zaledwie pierwszymi oznakami świadczył o zbliżającej się jesieni. W słoneczny dzień panno było, od nagranych mchów niesły się mocne zapachy. Aż na drogę wypełzły kolonie grzybów, obfitszych tutaj niż w całej ich dotychczasowej marszrucie. Wysoko nad nimi zakola zataczał jastrząb, ważył się na skrzydłach. Nie przeszkadzało to sójce w rozplotkowanej gadaninie na szczycie przydrożnego modrzewia. Wdzięcznie chwiała się na delikatnej gałązce, czasem leciutko trzepocąc skrzydłami, może dla podtrzymania równowagi, może dla dodania znaczenia swoim wywodom.

Marek trącił kolegę pod bok.

– Spójrz na to ptaszę. Niczego ci nie przypomina?

Mrugnęli na siebie, uśmiechnęli się. Na nieszkodliwy sposób lubili podrwiwać ze swoich trzech podopiecznych, jakim to mianem określali koleżanki ze złazowej wędrówki.

– W „Żaczku” dorabiałem myciem okien, partnerstwem do brydża, pilnowaniem dzieci. W zasadzie wszystko nieciekawe a pracochłonne. Teraz zgłoszę się na tragarza, nabrałem wprawy – Hajdrych przerzucał namiot i plecak z ramienia na ramię. Koszula pod nim nawilgotniała od potu.

– A ja się chyba ożenię, to najlepszy sposób na pozbycie się kłopotów. Z miejsca wszelkie ciężary przenosi się na barki ukochanej – z lepszym pomysłem wyskoczył Marek.

Milczące dziewczyny teraz dopiero zagdakały wszystkie razem. Tej przekpiny nie mogły zboleć.

– Patrzcie go, pan stworzenia!

– Gada tak, a pantoflarz będzie aż miło.

– Przeżytek. – usiłował ripostować.

– Nie taki znów bardzo, jak się tobie wydaje.

– Ciekawe, czy znajdziesz taką, co wyjdzie za ciebie? Niezguła i gamoń – Jolka rozpędziła się na całego. Co prawda, miała może największe prawo podrwiwać. Silna, wysportowana, ze wszystkimi trudami włóczęgowsko-biwakowego życia dawała radę nie gorzej od chłopców. Gdy Zośka i Bożena czasem nie umiały już ukryć zmęczenia, ona zdawała się nadal pozostawać zupełnie świeża.

Antek złapał się za głowę, ogłuszony rejwachem, jaki się podniósł na leśnej drodze.

– Leśniczówka – ucieszył się szczerze Marek, znajdując tu najlepsze rozładowanie sytuacji.

Droga poszerzała się, ścieląc się dalej prosto, a u jej krańca wyrastały zabudowania leśnictwa. Nad czerwoną dachówką z komina unosił się dym, prosto szedł w górę, znamie dalszej pięknej pogody.

– Ładnie to nawet wygląda... Mało znam Beatę, nie mój rok, a przy tym ona jakoś trzymała się od nas z dala. Nie widywałam jej nigdy w klubie studenckim, na potańcówkach też mało... Ty, Antek, dobrze ją znasz? Ładna jest. – Tylko w biodrach przyciężka – rzuciła Zośka.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI